

## Ostatnie słowo (rozdział z opowieści autobiograficznej *Ciąg dalszy,* która ukaze się 22 października nakładem Świata Książki)

W dokumentach moim miejscem urodzenia jest Warszawa, a w niektórych notach biograficznych Radoszyna. Oba są prawdziwe, bo wprawdzie matka mnie urodziła w Warszawie, ale mieszkaliśmy na folwarku w Radoszynie i tam był mój pierwszy świat. Ojciec zawiózł ją do warszawskiego szpitala, bo zapowiadał się trudny poród, a przedtem poroniła. Nie chciałem się urodzić, siłą mnie wyciągano, kleszczami, mam znak nad czołem. Byłem siny i nie dawałem głosu, udawałem, że mnie nie ma, odezwałem się dopiero po klapsach od lekarza. Gdyby przedtem nie poroniła, to by mnie nie było, jestem niejako w zastępstwie. Buciek przyszedł na świat w maju 1941 roku. Już nie wolno było nigdzie jeździć i matka rodziła w domu jak inne kobiety na wsi. Zresztą poród nie był trudny, bo Buciek nie stawiał oporu. Przeciwnie, wydawał się ze wszystkiego zadowolony. Był mocny, wcześniej zaczął chodzić, nie grymasił przy jedzeniu jak ja. Rodzina naszej matki pochodziła z dwóch ras. Dziadek był drobnym brunetem, a babka postawną, jasnooką blondynką. Nordycką urodę odziedziczili moja matka i najmłodszy z rodzeństwa Szestś (Szabataj), pamiętam jego długie, jasne pejsy. Najmłodsza z sióstr Basja (Batia) była mieszanką, miała czarne włosy i błękitne oczy. Buciek był po naszej matce jasnookim blondynkiem, pogodny jak aryjski aniołek z ufnością się do każdego uśmiechał. Wesoty był chłopak – powiedział o nim jeden ze świadków w *Miejscu urodzenia*. I po co? Bo Pan Bóg bardzo lubi aniołków – odpowiada na takie pytania ksiądz. Jeśli tak, to rzeczywiście ma wyobraźnię (i Pan Bóg, i ksiądz).

Przez nieporozumienie umieszczą się moje miejsce urodzenia na Podlasiu (uczynił to nawet Jan Błoński w *Autoportrecie żydowskim*). Radoszyna, z której pochodzę, Dobre, skąd pochodziła moja matka, i Nowa Wieś, skąd pochodził ojciec, to wschodnie Mazowsze. Wprawdzie tylko o miedzę od Podlasia (w linii prostej nie więcej niż 50 kilometrów od Treblinki), ale jednak coś innego. Moje Podlasie to Zaręby Kościelne oraz Świerże Górne, Świerże Dolne i Świerże Kończone (w 1975 r. przeniesione z województwa łomżyńskiego do mazowieckiego), gdzie ratowaliśmy się z matką od lata 1943 do lata 1944 roku. Też bardzo ważne dla mnie miejsca, ale inna kultura, która notabene bardziej mi się podobała.

Pytano mnie parę razy, czy pamiętam Polskę przedwojenną. Pamiętam wysoki żuraw nad studnią na środku folwarcznego majdanu, bocianie gniazdo na śpichrzu, stado czarno-białych krów, czerwone porzeczek przy płocie dworskiego ogrodu, Piłsudskiego na ścianie i piosenkę:

„Nasze matę żołnierzyki na placówkach stoją,  
na placówkach stoją, na placówkach stoją  
i śpiewają bolszewikom, że się ich nie boją,  
że się ich nie boją nic a nic!  
Tam żołnierze zawodowi, tu same dzieciaki,  
tu same dzieciaki, tu same dzieciaki  
mają tylko dla obrony ducha i kułaki,  
ducha i kułaki więcej nic”.

Piosenki tej nauczyła mnie matka. Urodziła się w 1916 roku, chodziła do szkoły w odrodzonej Polsce, uwierzyła, że ten nowy świat jest piękniejszy i chciała, żebym do niego należał. Dlatego nie mówiła do mnie po żydowsku i nie nauczyła mnie tego, co powinien wiedzieć Żyd. A czego mi później bardzo brakowało i musiałem nauczyć się sam albo – jak inni zasymilowani Żydzi – od antysemitów. Dumna z mojego świeckiego wykształcenia, jakiego nikt nie miał w naszej rodzinie, przekonana, że ja wszystko wiem, nie nauczyła mnie rozumu i musiałem uczyć się na własnych błędach. Wycięty z gazety Piłsudski – dyktator, ale bardziej tolerancyjny od większości swoich obywateli – wisił u nas w kuchni aż do końca, czyli jesieni 1942, gdy wygnano nas z domu. Niecałe dwa lata później Niemcy spalili folwark i dwór z ogrodem. Została mi tylko piosenka o małych żołnierzykach, która zawsze mi się podobała i podoba do dziś, i jeśli tylko będę w stanie, to zanucę ją sobie w ostatniej godzinie.

Ktoś napisał o mnie, że „wyeksploatowałem” już swoją biografię, ale to nieprawda, bo wciąż coś przybywa, nieraz tak bolesnego, że nie podejmuję się opisać, nawet pod pozorem fikcji. Nikomu o tym nie opowiadam i, nauczony w dzieciństwie, nie daję po sobie poznać. Kiedyś zapomniałem, że nie jestem już młody i zbyt intensywnie ćwicząc, naderwałem ścięgno w barku. Bolało okropnie dniami nocami, tylko nie podczas pisania. Tak samo jest z bólem psychicznym i dlatego codziennie piszę. Pewien laik zarzucił mi „łatwość pisania”, określając to nawet jako „przekleństwo łatwości pisania”. Też nieprawda, bo piszę z ciężkim sercem, a jeśli się wydaje, że łatwo, to dlatego, że tak trzeba. W sowieckim cyrku (który był znakomity) menażer stał w kulisach i po każdym numerze wołał: „Zuby!” – żeby artysta pokazał jak „łatwo” go wykonał. Bo sztuką jest „łatwość”, a nie stękanie. Prawdziwie wrażliwi czytelnicy wyznają mi, że niełatwo jest mnie czytać. Moim przekleństwem jest to, co mnie spotyka, a czego starczyłoby dla dziesięciu pisarzy. Szczęśliwcy, którym się niewiele przydarza, są przekonani, że wszystko jest przypadkiem, że nie ma fatum ani związków przyczynowo-skutkowych. Mój przypadek należy do szczególnego losu zbiorowego, którym od wieków rządzą nieubłagane – wręcz obłudne – związki przyczynowo-skutkowe.

Jestem świadkiem, który zeznaje w imieniu własnym i tych, co nie mogą tego uczynić, ale moi adwersarze upierają się, że oskarżam, osądzam i to „niesprawiedliwie”. Widocznie czują się oskarżeni i zagrożeni z sobie wiadomych powodów. Zarzucają mi, że jestem „jednostronny”, „konfrontacyjny”, „kontrowersyjny”, „bezkompromisowy”,

a to dla mnie komplementy. Jestem jednostronny i nawet sobie nie wyobrażam, że mógłbym stać po dwóch stronach albo – jak mówią Amerykanie – siedzieć po obu stronach płotu. Jestem konfrontacyjny, bo Holokaust uczy, że antysemityzm trzeba konfrontować. Kontrowersyjny, bo kontrowersyjne jest samo istnienie Żyda. I jestem bezkompromisowy w swoim uporze, że skazano mnie na zagładę, bo byłem dzieckiem żydowskich rodziców, a nie „ludzkości”, która z pewnego powodu bardzo chce uchodzić za ofiarę tamtej zalegalizowanej zbrodni. Pewien krytyk nazwał mnie „niesympatycznym weredykiem”, co też uważam za komplement, bo to żydowska tradycja: większość żydowskiego pergaminu zapisano „niesympatycznym” atramentem, bez „sympatycznej hipokryzji”, jaką posługują się pragmatycy. Zaniepokoiłem się tylko, gdy ktoś uznał mój sprzeciw za „skandaliczny”. Jak gdyby nie antysemityzm po Holokauście był skandalem, ale instynktowny protest ocalałego Żyda.

Zgłosił się raz do mnie młody socjolog ze wschodniej części Niemiec i wypytywał o uchodźstwo marcowe. Niechłuj jakiś albo przygłuchy, bo w artykule, który puścił potem w internet, wkładał mi w usta nieistniejące słowo „emigrates” zamiast „emigrés” i twierdził, że wyrażałem „prawicowe poglądy”, nie przytaczając ani jednego, więc nie wiem do dziś, które z nich są prawicowe. Czy to, że nie podoba mi się lewicowy antysemityzm? Który notabene już się niczym nie różni od prawicowego. A może to, że w przeciwieństwie do lewicowych pseudoliberalistów wolę cywilizowany, demokratyczny Izrael od fanatycznych, faszystowskich, żydożerczych dyktatur Bliskiego Wschodu? Oj, bo Bóg w końcu straci cierpliwość i ześle statek kosmiczny, który zabierze Żydów do całkiem innej Ziemi Obiecanej i po trzech tygodniach zapanuje pokój na Bliskim Wschodzie. Dlaczego dopiero po trzech tygodniach? Bo tyle będzie potrzeba Arabom, żeby wzajemnie się wymordować.

Demagogiczny banał, że „przemoc rodzi przemoc” nie sprawdza się w żydowskim doświadczeniu, gdzie matką przemocy – jak w przemocy domowej – była uległość i słabość. Appeasement nie powstrzymał Hitlera, przeciwnie, zachęcił i jedynym ratunkiem okazała się przemoc. Żydzi, którzy twierdzą, że izraelska „przemoc” wzmaga antysemityzm (i boją się, że im utrudni karierę), nie pamiętają niedawnych „dobrych” czasów, gdy Izraela nie było, lecz mimo to antysemita przedstawiali Żydów jako złoczyńców, a siebie jako ich ofiary. Hitler posługiwał się tą metodą do ostatnich godzin swojego życia, zrzucając winę za wojnę, krew i zniszczenia na Żydów. W pierwszej części *Mein politisches Testament* wciąż powtarzał słowa „Juden”, „jüdische”, „Judentum”. Część druga dotyczy degradacji (m.in. Göringa i Himmlera za potajemne pertraktacje z aliancami) oraz nominacji „nowego gabinetu”, lecz i tam ostatnie zdanie wymierzył w Żydów: „Nade wszystko zobowiązuję przywódców narodu do skrupulatnego przestrzegania prawa rasowego i bezlitosnego oporu (*unbarmherzigen Widerstand*) przeciwko światowemu trucielowi wszystkich narodów (*Weltfergitter aller Völker*), międzynarodowemu żydostwu (*dem internationale Judentum*)”. „Bezlitosny opór” jest oczywiście lapsusem freudowskim – bo co może znaczyć „bezlitosny opór”? – a ostatnim słowem tej obsesji jest oczywiście „Judentum”. Podpisał to „zu Berlin, den 29. April 1945, 4.00 Uhr” (o czwartej

nad ranem) roztrzęsioną ręką, która gryzmołiła jedną literę na drugiej. Podpisali również świadkowie: Goebels, Bormann i jeszcze jacyś dwaj skurwysyni. Dokument ten znaleźli agenci amerykańskiego kontrwywiadu wojskowego, CIC, w walizce generała SS, który był adiutantem Bormanna. Nakryli go na farmie w Bawarii, gdzie pracował jako robotnik rolny. Jednym z tych agentów był Arnold Weiss urodzony w 1925 roku w Norymberdze i zabrany w 1938 roku do Ameryki przez organizację kwakerską, która pomagała ratować żydowskie dzieci. Zaprosiliśmy go na nasz lunch Dzieci Holokaustu tu pod Waszyngtonem i przyniósł nam kserokopie na pamiątkę.

Jeden z krytyków zarzucił mi, że jestem „w swoim doświadczeniu” – jak gdybym sam siebie uwięził. Podobnie jak „Żyd wieczny tułacz”: nikt go nie wyganiał, sam się tak wiecznie tułał. Owszem, antysemityzm jest więzieniem i to dożywotnim. A zwłaszcza Holokaust. Wywołuje burze mózgowe, budzi w środku nocy i każe notować. Zamyka w czterech ścianach na większość dni, bo wie się coś, co trzeba koniecznie przekazać. Oczywiście są granice wytrzymałości – jak dowiedli Levi, Rawicz, Kosiński, Wojdowski – i wiem, że to ponad moje siły, ale jest także nakaz żyć – jak najdłużej, jak najbardziej, żeby nie sprawić satysfakcji mordercom ani zawodu – zamordowanym. Czasem czuję, że tonę, ale zawsze ktoś-coś mnie w ostatniej chwili podnosi i wyciąga jak w Ochotniku. Owszem, wolno skończyć własnoręcznie, gdy zmusza do tego beznadziejny stan zdrowia, utrata samodzielności i godności, ale w takim wypadku to tylko odmiana śmierci naturalnej.

Nieporozumieniem jest eksponowany w moich notach biograficznych rok urodzenia. „Urodziłem się w dziewiętnastym wieku”, napisałem w poemacie pod tytułem Komentarz, ale to było jeszcze średniowiecze. Dziś już mało kto wie, bez ilu rzeczy człowiek może się obejść. Rzeczy, które produkuje się, by napędzać gospodarkę i konsumpcję i bogacić się ponad miarę i wszelką przyzwoitość. A kosztem chleba naszego powszedniego. Newton już 300 lat temu obliczył, że nie utrzymamy się na tej ziemi dłużej niż do 2060 roku. „No Apples after 2060”, nie będzie jabłek po roku 2060, komentowała jedna z ówczesnych gazet, nawiązując do spadającego jabłka, które nasunęło mu myśl o grawitacji, ale Newtonowi chodziło o chleb, powietrze i wodę i jego przewidywania sprawdzają się co do joty. Stephen Hawking też ostrzega, że „rasa ludzka nie ma przyszłości, jeśli nie wyruszy w kosmos”, lecz geniusze wymyślają nam w dalszym ciągu cacka, bez których możemy się obejść. Gdy przyszedłem na ten świat, żyło na nim wszystkiego dwa miliardy ludzi, trzy razy mniej niż dziś, a w bardzo doświadczonej języku hebrajskim wyraz *milchama*, czyli wojna, ma w swoim rdzeniu *lechem* czyli chleb.

Przy komputerze siedzi ten sam człowiek, co przed tysiącami lat. I za każdym razem się uczy od nowa – na własnej i cudzej skórze. Średniowieczne umysły i ręce z nowoczesną technologią ludobójstwa widać codziennie na ekranach. Jedenasty września był próbą generalną Holokaustu prawdziwie uniwersalnego: zaskoczono i zabito tysiące przypadkowych ludzi, nikogo tym razem nie wybierając. Yehuda Bauer twierdzi, że Holokaust nie miał precedensu. Teraz ma już dwa. My Żydzi byliśmy pierwsi, bo zawsze jesteśmy w przedniej straży, która wszystkiego najwcześniej doświadcza.

Ameryka jest czasem przyszłym. To, co jej się udaje lub nie udaje, jest wskazówką lub przestrogą. Na przykład, ile samochodów przejedzie zanim załamie się most? Ameryki nie można porównać z żadnym innym doświadczeniem, ani opisać, ani nawet sfotografować. Żeby ją znać, trzeba z nią żyć. Jest wciąż niewinniejsza od innych zaawansowanych kultur i jeśli zarzuca jej się naiwność, to jest to komplement. Toteż nigdy nie żałowałem, że uciekłem do Ameryki. Borykałem się i mniej przez to napisałem, ale napisałem to, czego gdzie indziej bym nie wiedział. Za uchodźstwo się płaci i wychodzi się z tego okaleczonym, ale w Ameryce zyski przeważają straty. Niedawno w Polsce, która po długiej przerwie znów stała się krajem europejskim, dziennikarka spytała mnie: „Czy pan jako Europejczyk...” Przerwałem jej: „Ja nie jestem Europejczykiem, ja jestem Amerykaninem”. Po czterdziestu latach to się ją czuje.

Nie jestem pisarzem amerykańskim i nie mogę być, bo przybyłem z innego doświadczenia, za którym Ameryka wciąż pozostaje w tyle. Przed jedenastym września byłem pewny, że to się nie zmieni, że ten azyl nie zostanie zbrukany – teraz już tej pewności nie mam. Jestem tu mało rozumiałym pisarzem i niech tak będzie. Polacy rozumieją mnie jako pisarza, ale Amerykanie jako człowieka i to drugie jest dla mnie ważniejsze. Bo – jak nieraz podkreślałem – literatura jest dla mnie środkiem, a nie celem.

„Pamięć jako problem etyczny, jako powinność i odpowiedzialność, jako obowiązek, np. pamięć jako ostrzeżenie przed złem” – zanotował na swoich ostatnich stronicach Kapuściński, choć nie był więźniem takiego doświadczenia jak moje. Przypominam, co się stało, bo widzę, co się dzieje i co może się stać. I przeważnie jestem bezradny jak wtedy, gdy na moich oczach człowiek wpadał w zwolnionym tempie pod tramwaj. Już wynaleziono pigułkę przeciwko złej pamięci. Jedni ją zalecają, bo usuwa ból, inni ostrzegają, że pozbawia osobowości. Jedni argumentują, że rany trzeba leczyć, drudzy, że bez naszych ran nie jesteśmy sobą. Starsza kobieta, którą w dzieciństwie zgwałcono, twierdzi, że po pigułce nie straciła swojej osobowości, przeciwnie, odzyskała. Ale jej już nie grozi to, co ją spotkało, podczas gdy nasza historia wcale się nie skończyła, a dzisiejsza technologia i „technologizacja” jest jeszcze skuteczniejsza, więc nam nie wolno brać tej pigułki.

Gdy pisałem tę książkę umarły trzy koleżanki i jeden kolega z waszyngtońsko-baltimorskiego klubu dzieci Holokaustu (koleżanek jest więcej niż kolegów) oraz narratorka opowiadania *Umowa z Bogiem*, która mieszkała w New Jersey. Ktoś powiedział, że boi się świata, na którym nie będzie już ani jednego ocalańca Holokaustu. Ja też. W zakończeniu książki Abrahama Shulmana z nowojorskim Jeremiaszem w tytule umierający ocaleniec, który nie ma nikogo, prosi narratora, żeby po śmierci zatkał mu uszy watą. „Ależ po co?” – dziwi się narrator. „Bo gdy przyjdzie Mesjasz i zatrąbni, żebyśmy powstałi z grobów, to ja nie chcę tego usłyszeć, mnie wystarczyło raz”. Mnie też.

Myślałem, żeby na tym skończyć, ale nie wypada, bo pisarz powinien szukać otuchy. Swego czasu znalazłem ją na bar-micwie potomka ocalańców i dopisałem na zakończenie pesymistycznego eseju o Wannsee, pięknej berlińskiej suburbii, gdzie przypieczętowano najbardziej przerażający wyrok w historii człowieka (*Monolog*

polsko-żydowski, 2003). Parę lat później tenże *bar-micwa* – słowo to oznacza zarówno konfirmację, jak i konfirmowanego – napisał *personal statement*, wypowiedź osobistą nieprzekraczającą pięciuset słów, którą kazano mu załączyć do podania o przyjęcie na studia. Oto ona.

„Miałem szesnaście lat i stałem u wejścia do Birkenau, gdzie podczas II wojny światowej zabito ponad milion Żydów. A jednak nie czułem gniewu. W tym miejscu zadano śmierć dziadkom, wujkom, ciotkom i kuzynom mojego ojca. A jednak nie czułem odrazy. Palono tu ciała kobiet i dzieci bez żadnej ceremonii. A jednak nie czułem wstrętu. Na tym terenie ogrodzonym kolczastym drutem znajduje się największy cmentarz na świecie. A jednak nie czułem smutku.

Spędziłem ten dzień, zwiędając to co pozostało po przypuszczalnie największej zbrodni w dziejach ludzkości, a jej ofiarami byli moi krewni. Zwiedziłem baraki, gdzie więźniowie musieli spać na deskach. Wstąpiłem do komór gazowych, gdzie kobiety i dzieci pod natryskami witano cyklonem-B. Widziałem stopy ludzkich włosów gromadzonych przez Niemców do celów przemysłowych. Zglądałem do swojej duszy, żeby sprawdzić, jakie uczucia to we mnie wywołało, ale nie stwierdziłem nawet śladu nienawiści.

Stałem przed Birkenau i pytałem sam siebie: Co ja tu widzę? Czy widzę Żydów odzianych nie tylko w własności, lecz i w tożsamości? Czy widzę dzieci prowadzone na śmierć i wycieńczonych mężczyzn u progu śmierci? Czy czuję dym palonych ciał? Czy słyszę wykrzykiwane rozkazy hitlerowców? Czy widzę nieoznaczone groby miliona byłych obywateli Europy? Nie.

Co więc widzę? Widzę zieloną trawę i las wokół. Czuję słońce i chłodny powiew na twarzy. Słyszę ćwierkanie ptaków i koników polnych. Wdycham woń kwiatów i świeże powietrze polskiej wsi. Jest piękny dzień, a ja jestem jego naocznym świadkiem. Jak cudownie jest żyć w taki dzień.

Czy zapominam? Nie, nie zapominam. Nie mogę zapomnieć. Ale mogę przebaczyć.

Moi krewni odeszli z tego świata bez pożegnania. Nie mam ich fotografii i nie znam ich imion. Oni mają prawo do największego gniewu, lecz nadstawiając uważnie uszu, słyszę, co mi mówią. Wznoszą ku mnie toast *l'chaim*. Za życie. Toast, który można usłyszeć w każdym żydowskim domu. Dlaczego za życie? Bo nic innego nie mamy”.

Dopiero pod koniec życia naprawdę widać, jakie ono zadziwiające i piękne pomimo wszystko. Ja nie mogę przebaczyć, ale kocham je – pomimo wszystko. I najbardziej lubię utwory, które to piękno ukazują. I jestem szczęśliwy, gdy i mnie coś takiego się uda. Ale wiem, że jest wątpliwe i że ochrania je tylko cienka powłoka słów. Dlatego piszę. I dlatego wysyłam jeszcze tę widokówkę z Waszyngtonu – na pamiątkę.

Wysokie, zielone drzewa przeglądają się w Potomaku. Spowite, ociekające nieśmiertelnie zielonym bluszczem, że aż rzeka od tego zielona. Australijczycy mają Niebieskie Góry, a my Zieloną Rzekę. Wiosnujemy od maja do września, czasem do października. Unikamy niedziel i świąt, żeby mieć całą rzekę dla siebie. Tak napisano o nas w gazecie pod wielkim zdjęciem z lotu helikoptera: „Two canoers have the entire river to themselves”. Nie czytuję tej gazety, bo manipuluje informacjami z Bliskiego Wschodu na niekorzyść Izraela, zdjęcie pokazali nam Fletcherowie, właściciele przystani, u których już ćwierć wieku wypożyczamy Kcanoe. Jest z duralu, nitowane jak samolot, a wygląda jak indiańskie. Wszystko jest tu indiańskie. Rezydencyjna dzielnica, która kryje się

za drzewami po waszyngtońskiej stronie Potomaku nazywana jest Indian Country i ulice mają tam indiańskie nazwy, podobnie jak i sam Potomak. Wyptywając z przystani, jesteśmy długo w zielonym indiańskim krajobrazie sprzed dwustu lat, a flaga amerykańska nad przystanią Fletcherów oznacza tylko, że dotarli tu już białzi osadnicy.

Rzeka jest kapryśna jak *Indian summer*, spóźnione indiańskie lato. Szybko przyptywa i odpływa, wznosi się i opada, zostawiając mokry szlak nieraz metrowej szerokości na przybrzeżnych skałach. A skały się wynurzają znienacka, nawet na środku rzeki. Trzy najwyższe, które stoją jedna przy drugiej i woda nigdy ich nie przykrywa, nazywają się Trzy Siostry. Wyrastają z nich bardzo dzielne młode drzewka, które nigdy się nie starzeją, bo można urodzić się na kamieniu, ale nie zestarzeć. Gdy rzeka opada, Trzy Siostry rozmnażają się jak królice i trzeba uważnie wymijać ich liczne potomstwo, często tuż pod powierzchnią wody. Odpoczywają na nich szare kaczkę, szare gęsi z białymi kołnierzykami, białe i szarawe mewy. Wyższe skały, rzadziej zalewane przez wodę, są całe usrane na biało. Na najniższych wygrzewają się żółwie w szarozielonych pancerzach – pojedynczo, parami i całymi rodzinami, rzędkim od największego do najmniejszego i gdy się za blisko podptynie, to plum, plum jedno za drugim pod wodę.

Na brzegu, najchętniej w cieniu, czatuje tu i ówdzie nieruchomy, smukły heron, niby-czapla, ale – jak już zaznaczyłem w „Kuzynie Benito” – do herona ta polska nazwa nie pasuje. Jest szarobłękitny, więc nazywa się *grey-blue heron*. Czasem stoi na wodzie – gdy skała równa jest powierzchni wody – albo chodzi jak Pan Jezus po ukrytej pod wodą mierzei, ale najpiękniejszy jest kiedy leci z szeroko rozpostartymi skrzydłami, niziutko, niemal dotykając wody niczym poduszkowiec. Machnie dwa razy skrzydłami i leci sto albo dwieście metrów, bez wysiłku, jak artysta cyrkowy. Heronów jest nad rzeką niewiele, dwie albo trzy pary, bo z czego by żyły. Czatują w przyzwyczajonej odległości jedno od drugiego, ale widać, że pary. Zakładamy się z Adasiem, kto pierwszy zobaczy herona. A nie jest to łatwe, bo się kamuflują, i kto zawoła, że heron, a okaże się, że to sterzczący patyk, dostaje punkt ujemny. Coraz częściej przegrywam i coraz większą różnicą punktów, bo już nie to sokole oko. Pod koniec lata, gdy herony odlatują na Florydę, zakładamy się, kto upoluje wzrokiem szaroburą sarnę u wodopoju. A wysoko w niebie kołują jastrzębie – nad drzewami, nad wodą, a nieraz nad nami, że aż nieprzyjemnie. Długo szybują i powoli na nieruchomych skrzydłach, a potem nagle skrzydła po sobie i spadają jak kamień w wodę. Raz widzieliśmy, jak dwa spadły po tę samą rybę i zderzyły się w połowie drogi, ale odbiły się jeden od drugiego i odleciały w przeciwnie strony jakby nigdy nic, a i ryba tym razem uszła cała.

Niebieskie Góry znajdują się na końcu świata, a nasza Zielona Rzeka w środku cywilizacji. Już po dwudziestu minutach widać wysoki, betonowy Key Bridge, nazwany tak na cześć autora hymnu amerykańskiego, a przy dobrej widoczności falliczny obelisk Waszyngtona na niebie. Jeszcze kwadrans i z zielonej skarpy Georgetown strzelają do nieba wieżyczki starego uniwersytetu jezuitów i zegar na miejskiej wieży, twarzą do rzeki, co kwadrans głośno przypomina, że znów trochę bliżej wieczności. U stóp skarpy moczy się uniwersytecka przystań z łodziami wyścigowymi. Spotykamy je każdej wiosny

na rzece, gdy studenci ćwiczą czwórkami i ósemkami pod komendą megafonu. Przeplwamy pod rzymskimi łukami wysokiego, betonowego mostu, zostawiamy po prawej ręce wysokościorce Rosslyn (ale nie wyższe od fallusa Waszyngtona) i gęste zarośla wyspeki spacerowej Theodora Roosevelta i po dziesięciu minutach cumujemy nasze kanoe do boardwalku Washington Harbor, skąd jak na dłoni widać faliste linie sławnego-niesławnego Watergate i zakotwiczony nad rzeką Kennedy Center for Performing Arts niczym „Show Boat” na Mississippi z tarasami jak pokłady statku. I chyba tak go pomyślano, bo gdy w antrakcie wyjdzie się na taras to czuje się świeży powiew i zapach rzeki – jest się na rzece.

Jeśli Adaś nie ma dnia wolnego w tygodniu, to przybijamy tu podczas weekendu, gdy Washington Harbor jest oblężony przez jachty i jachciki różnych rozmiarów i kategorii o zabawnych kalamburowych imionach, które wyrażają stosunek ich właścicieli do życia i płacenia podatków, lecz nie dają się przetłumaczyć na polski. Nasza aluminiowa hulajnoga przycumowana łańcuchem od roweru, też ma swoistą wymowę. Boardwalk zastawiony jest stolikami dla turystów i frajerów. My tubylcy idziemy dwieście metrów w lewo i jeszcze ze dwieście pod górkę Wisconsin Avenue przez mostek nad kanałem i schodkami w dół do „Philomeny”, gdzie za tyle samo co jedno danie na boardwalku mamy cały północno-włoski bufet na zasadzie „all you can eat” z najlepszym w mieście *salad-barem* i najlepszą pastą, czerwonym i białym mięsem, *sea-foodem* i kilkoma europejskimi tortami – jeśli Europa jeszcze w czymś przoduje, to właśnie w tym – i jedz, ile chcesz! Cafe szczęście, że po tym posiłku musimy półtorej godziny wiosłować pod prąd, a czasem i pod wiatr.

Jeśli Potomak jest za zimny, za szybki, lub za wysoki i policja zabrania Fletcherom puszczać czółna na rzekę, wiosłujemy do Georgetown kanałem równoległym do rzeki. Kanał też jest zielony, ale inaczej: w migotliwe impresjonistyczne punkciki i prostokąciki o różnych odcieniach. *Heronów* tu nie ma, bo kanał jest za wąski dla ich skrzydeł. Żółwie wygrzewają się nie na skałach, ale odłamkach upadłych drzew. Kaczki nie latają, tylko pedałują, parami albo z potomstwem: rodzice z drobiazgiem na ćwiczeniach. Czasem także gęsie rodziny – gęsiego – młode jeszcze bez kołnierzyków. Na kanale „polujemy” na żółwie, które opalają się po słonecznej stronie. Na żółwie jeszcze z Adasiem wygrywam, bo dużo bliżej. Gdy dopływamy do miasta, kanał ciemnieje, znikają żółwie i kaczki, tylko czarne grzbiety ryb pod powierzchnią śmigają. Georgetown jest niewiele starszy od Waszyngtonu, lecz cieniste, kamienne lub ceglane mury z obu stron kanału wyglądają jak średniowieczne, woda jak fosa, mosty jak mosty zwodzone. Cumujemy przy śluzie, gdzie przystaje co pewien czas barka pasażerska holowana przez dwa lśniące, kare muły. Są dobrze wykarmione, zadbane, aż przyjemnie popatrzeć, lecz fajdają na ścieżkę spacerową i trzeba zatykać nos, bo niczyje tajno tak nie śmierdzi, jak muła. Barkę i śluzę obsługują młodzi mężczyźni w portkach na szelkach, zgrzebnych koszulach i zdeformowanych kapeluszach à la Tom Sawyer i młode kobiety bez makijażu, w perkalowych bluzkach pod szyję, kłoszowych spódnicach do stóp i czepkach, jakie nosiły obie moje babki.



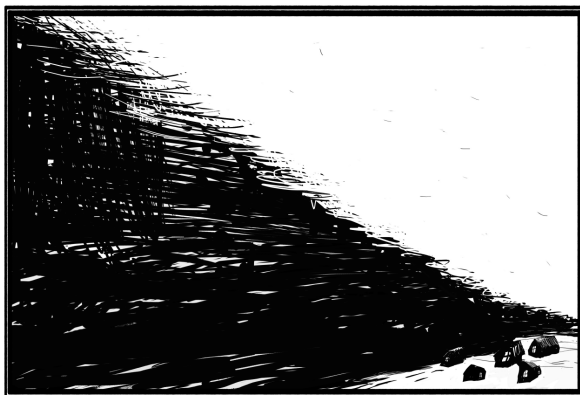
Przystajemy jak inni przechodnie na mostku, by popatrzeć jak barka z frajerami-turystami zapada się w studnię śluzu i mamy ubaw za darmo.

Swego czasu zabierałem na kanoe rozmaite turystki – nie bardzo pamiętam, po co – ale moim partnerem był zawsze Adaś. Urodził się tu nad rzeką, kilka przecznic od Washington Harbor i Watergate, w tym samym szpitalu, skąd uciekłem chirurgowi spod noża, dzięki czemu do dziś wiostuję, godzinami, bez podparcia, choć z siedmioma krzyżkami na karku. Adaś urósł na tej rzece. Gdy zaczęliśmy czesać się po indiańsku w ostry mohawk. Miał za krótkie ramiona, ale szybko mu podрастаły i z roku na rok coraz bardziej mogłem na niego liczyć, gdy znosił nas przeciwny wiatr, bo duralowe kanoe ma dużo zalet, ale łatwo ulega wiatrowi. Przez większość wiosen i lat, które nam tu upłynęły, siedział z przodu, nawet gdy przerósł mnie o głowę, aż pewnego dnia mnie przeważył i zamieniliśmy się miejscami, bo kanoe musi mieć większe obciążenie z tyłu. Od tamtej pory on steruje, a ja na przedzie ostrzegam przed głazami, które czyhają pod powierzchnią, gdy woda opada.

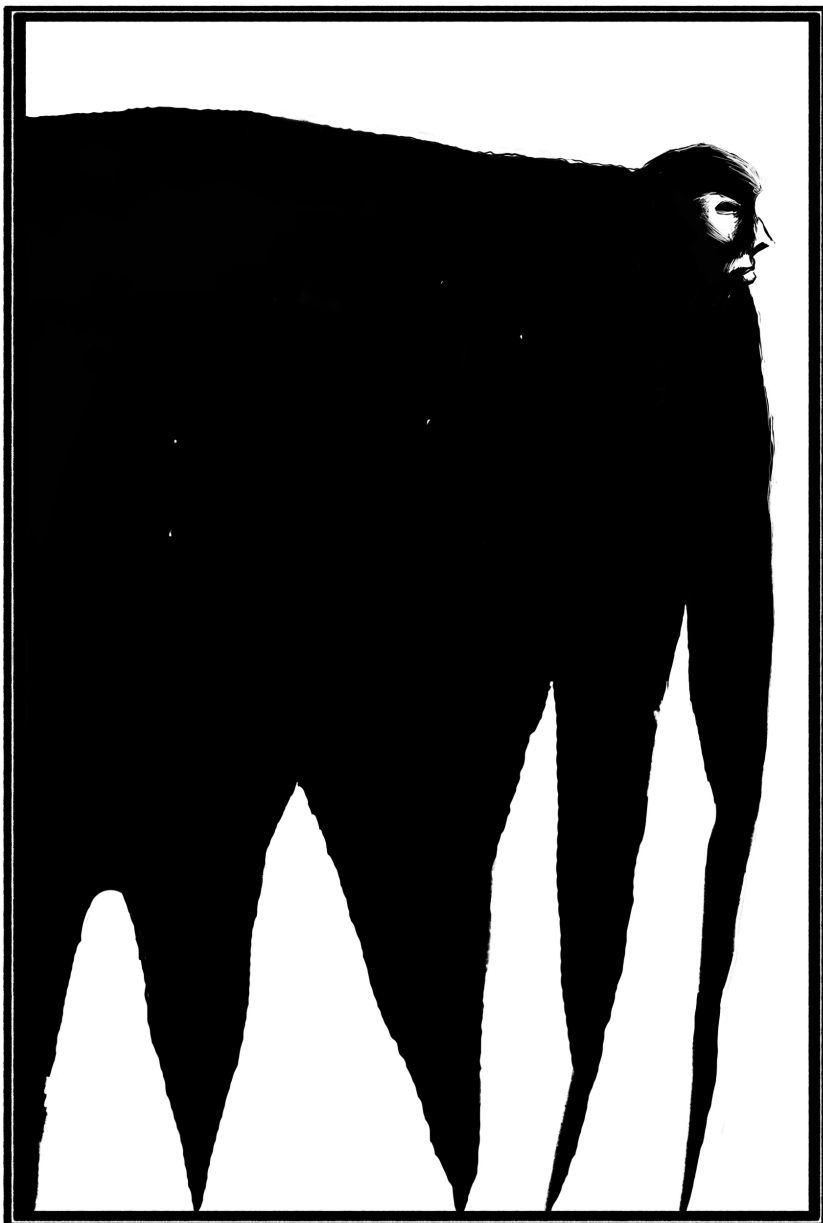
Miłosz nie chciał umrzeć nad Zatoką San Francisco, ale ja nie mam nic przeciwko temu, żeby umrzeć nad Potomakiem. Wprawdzie mam miejsce przy kościach mojego ojca na cmentarzu żydowskim w Warszawie, ale nie chcę leżeć w tamtej smętnej nekropoli. Wolę odpłynąć z zieloną rzeką, której zawdzięczam najlepsze dni życia mojego i powiedziałem Adasiowi, żeby mnie do niej wsypał, najlepiej z czółna. Wprawdzie kremacja jest sprzeczna z żydowskim rytuałem, ale nie z moim dziedzictwem, bo większość moich krewnych i mojego polsko-żydowskiego narodu spalono. A poza tym mam cichą umowę z Bogiem i wzajemnie sobie to i owo wybaczymy.

– Co pan uważa za swoje największe osiągnięcie – spytano mnie niedawno w wywiadzie.

– To, że przeżyłem tyle lat. I że udało mi się uratować dwoje ginących dzieci, bo choćby zapomniano wszystkie moje książki, to dzięki tamtej przygodzie moje życie nie poszło na marne.



Rysunek Irek Konior



Rysunek Irek Konior